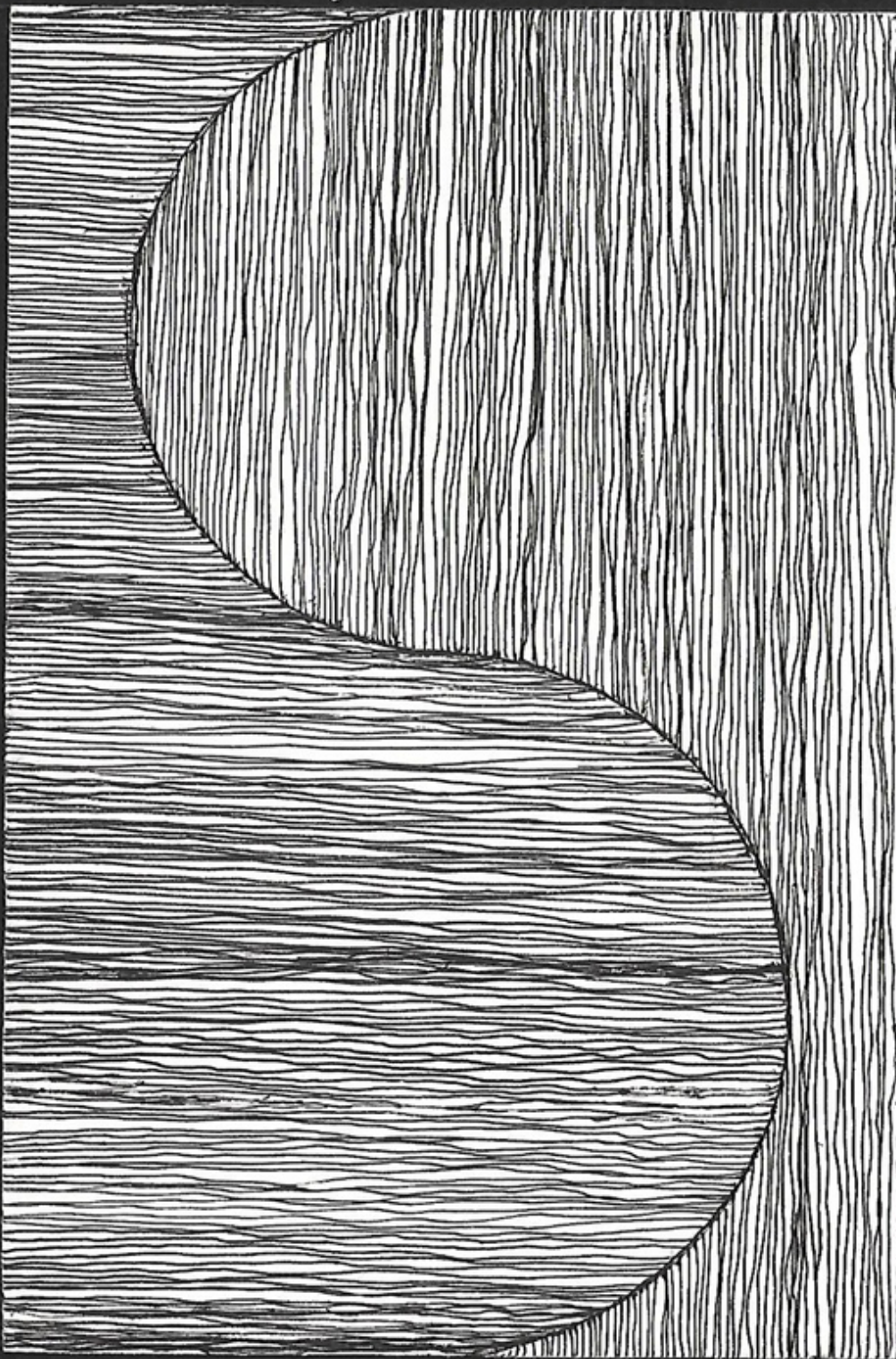


SAM NA SCENIE

Gazeta festiwalowa 19. finału turnieju teatrów jednego aktora



Grafika: Kazimierz Jałowczyk

Numer: 1/2

Od redakcji

Tegoroczne spotkanie monodramistów w Słupsku miało być powrotem do normy. Po dwóch edycjach, na których cieniem położyła się pandemia, mieliśmy wrócić do błogiej codzienności. Jednak tak się nie stało. Wprawdzie nie musimy się już chronić przed sobą za maskami. Serdecznie ściskamy sobie dłonie, nie unikamy kontaktu.

Aczkolwiek nie możemy udawać, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Do radosnego święta teatru, który to celebrujemy już po raz 19. wdzierają się z zewnątrz fałszywe nuty. To wojna, która rozgorzała na nowo u naszych sąsiadów. Ich tragedia i bohaterowska walka przypomina nam, że szczęście – będące naszym udziałem – często okupione jest ofiarą innych.



fot. Krzysztof Przewoźny



Zmusza nas to do wyciągnięcia z mroków niepamięci tych oczywistych stwierdzeń. Pokój, normalność, zdolność do czynienia sztuki, uczestnictwo w kulturze nie jest dane na zawsze i nie jest udziałem każdego. Natomiast ci, którzy dostąpili tej radości niech się cieszą. Im bardziej krucha wydaje się nasza codzienność tym mocniej powinniśmy czynić z niej święto. Podczas, gdy mowa ludzka

zdaje się nieważna w starciu z okrucieństwem i prymitywną brutalnością, kłamliwie nazywaną realizmem niech każde wypowiedziane słowo będzie ważne, jak nigdy. My szczęśliwi nieliczni, którzy spotykamy się w Teatrze Rondo by odczynić obrzęd teatru powinniśmy wiedzieć, że pielęgnujemy prawdziwy dom człowieka.

Maciej Swornowski



fot. Szymon Wojewoda

Wojna z perspektywy kobiety to przede wszystkim głód. Dla niej, dla żony, dla matki, zamkniętej w najstraszniejszym oblężeniu, najstraszniejszej z wojen ludzkości – wojna to rosnąca pustka. Nicość, która pożera wszystko. Zabiera spokój dnia. Zabiera miłość. Najpierw do zwierząt, potem innych ludzi, własnej rodziny. Zmusza do odzierania się z kolejnych złudzeń człowieczeństwa.

Leningrad w monodramie Faustyny Słonki to pozornie opowieść mieszczańska. To historia ludzi, dla których głód stał się codziennością. Zjawiskiem, które zaczyna być osławiane, zwalczane za pomocą organizacji, środków technicznych, pomysłowości. Głód jest racjonowany, przydzielany, obserwowany i nazywany. Jednak nie daje się kontrolować. Powolnie i me-

todycznie pokonuje każdego. Niepowstrzymanie zmienia ludzi w prymitywne bestie. W tym odrażającym świecie bohaterka i jej dziecko przetrwają, jako nieliczni. Jednocześnie trudno powiedzieć czy tym samym ocaleją?

Pomimo potwornego, wręcz frenetycznego tematu monodram „Dystrofia” w reżyserii Anny Maśki zbudowany jest bardzo harmonijnie. Elemen-

Martwy kawałek własnego ciała

Wojna już jest. Zawsze była. Teraz jest po prostu bliżej. Straciliśmy więc możliwość ignorowania jej, poprzez spychanie do informacyjnego szumu.

Głód też jest. Też był zawsze. Jest już coraz bliżej. Na razie ma niewyraźne kontury, ale pojawi się z całą pewnością. Zaległ się już w pleśniejącym zbożu, które zalega w ukraińskich silosach. Rośnie wraz z każdą decyzją administracyjną Rosji, która zakazuje eksportu produktów opartych o pszenicę. Podstawy wyżywienia nieszczęśników, którym przyszło urodzić się w krajach globalnego południa.

Za chwilę serwisy informacyjne zapełnią się migawkami ludzi z pustym wzrokiem, stojących w kolejkach po pomoc humanitarną. Potem pojawią się wizerunki opuchniętych ciał. Po nich przyjdzie czas na stosy ciał. Cykl zakończą śmiertelne podsumowania, które pójdą w setki tysięcy lub miliony.

Faustyna Słonka, Ośrodek Kultury w Jasienicy, filia w Mazańcowicach
„Dystrofia” na motywach tekstów Jeleny Koczyńskiej, Olgi Bergholc, Lidii Ginzburg ze zbioru „Oblężone”, (tłum. Agnieszka Kryt, Elwira Milewska-Zonn) oraz tekstów z książki „Leningrad” Anny Reid (tłum. Wojciech Tyszkowski)
scenariusz, reżyseria i scenografia: Anna Maśka

ty pasują do siebie. Narracja prowadzona jest w swoim, odpowiednio dobranym do tematu tempie. Na szczególne podkreślenie zasługuje wykorzystanie rekwizytu, pozornie oczywistego, jednakże znakomicie splecionego z opowieścią. Aktorka, mimo młodego wieku radzi, sobie dobrze ze swoją rolą. Momentami bywa zbyt cicha, ale to swoiste „wycofywanie się do siebie” uda-

nie dodaje kreowanej postaci rysu kruchości i delikatności.

Za podjęcie bardzo trudnego i jakże aktualnego tematu twórczyniom monodramu należą się podziękowania. Z całą pewnością jest to przedstawienie ważne zarówno w swej formie, jak i treści.

Maciej Swornowski

OMÓWIONO

Faustyna Słonka

„Dystrofia”

Marzena Wiśniewska:

-Chciałabym bardzo podziękować za to, że było to poprowadzone w bardzo kontrolowany sposób.

-Ma Pani delikatny głos, który niósł nas w tej historii.

-W tej delikatności jest po prostu ból.

-Projekcje multimedialne były tautologiczne.

Bernadetta Żynis:

-Świetna praca z rekwizytem.

-Praca z masą ciastową była trochę jak praca z lalką.

-To był trudny temat, a sposób, w jaki Pani go zaprezentowała sprawił, że doznawałam przyjemności.

-Miałam świadomość, że biorę udział w uczcie aktorskiej oglądając Panią. Miałabym jedynie uwagę do kompozycji.

Anna Seniuk:

-To było karkołomne zadanie, żeby powiedzieć ten tekst w taki sposób, w jaki został powiedziany.

-To jest świetne, że dopiero po całości zdajemy sobie sprawę z ilości cierpienia.

-Zadanie wykonane bardzo szlachetnie.

-Trzeba warsztatowo, rzemieślniczo poprawić. Nie bać się nawet troszki głosu.

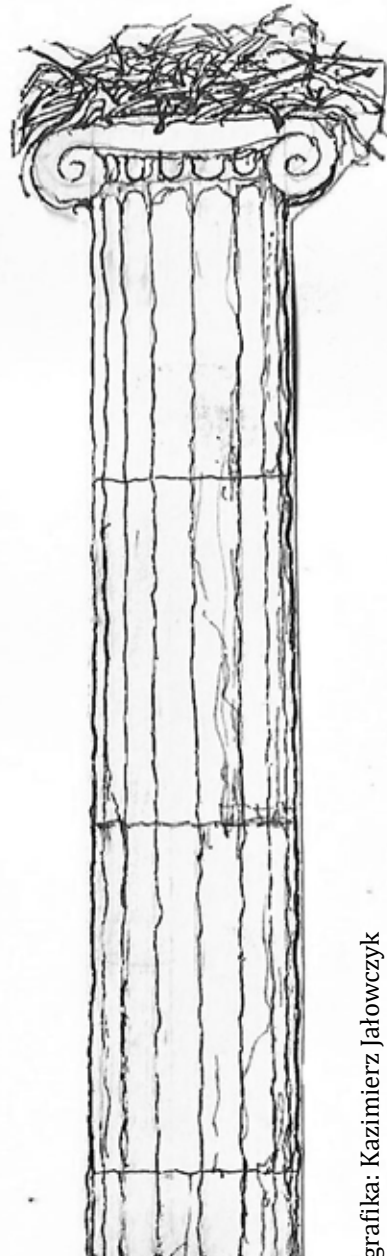
Jan Zdziarski:

-Multimedia to był taki brud spektaklu.

-Pointę czytam jako wspomnienie.

-Rekwizyt był łącznikiem lepiącym całość. Może niekoniecznie wszędzie musiał być tautologiczny, ale to nie raziło.

-Okruszek gorczycy, właściwie pochwały i podziękowania, popraw wyrazistość artykulacyjną, Babo.



grafika: Kazimierz Jałowczyk

Wspomnienie z 18. edycji

„ (...) pojechałam”

Pamiętam, jak nie pojechałam do Francji i moja noga więcej tam nie postanie... - mówiła Halina w moim spektaklu.

A ja pamiętam, jak pojechałam do Słupska i już dziś wiem, że chcę tam kiedyś wrócić.

Turniej Sam na Scenie, czyli finał Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w kategorii Monodramu, to trzydniowa uczta teatralna. Spektakle konkursowe (14!), dwa spektakle mistrzowskie, no i na finał spektakl w wykonaniu wszystkich uczestników, który moja Halina miała zaszczyt spinać w jednolitą całość. Brawa dla reżysera tego finałowego pokazu, który w dwie godziny wyczarował z nami piękne podsumowanie, tego co tu się od 2 września działo.

Moja Halina przyniosła mi

trzecią nagrodę konkursową, jestem bardzo szczęśliwa i wdzięczna bo dla mnie nagrodą było w ogóle tam być.

Ale mój pobyt w Słupsku to cała opowieść, na którą składają się ludzie, miejsca, emocje, nowe znajomości. Samo miasto ujmuję pięknymi muralami, uroczymi zabytkowymi budynkami, przyciągającymi uwagę wesołymi nazwami sklepów, pysznym jedzeniem i wiercie mi, przemiłymi ludźmi. Do tego miasta chce się wracać.

W towarzystwie przyjaciółki Beaty Kowalskiej przeżyłam najpiękniejszą przygodę od wielu lat. Znalazłyśmy chwilę na przywitanie się z morzem, na pogaduszki przy lampce dobrego wina (no co, w końcu jesteśmy już dorosłe) i przegadywanie oglądanych spektakli, podziwianie miasta... Ech, było cudownie!

Podziękowania!

Za wspaniały czas, za opiekowanie się nami wszystkim dziękuję Teatrowi Rondo i całej rzeszy fantastycznych osób (organizatorów, jurorów, wolontariuszy). Dzięki Wam nie czuło się atmosfery rywalizacji, ale raczej moc wspólnego działania i przyjaźni.

A za to, że dane mi było się znaleźć w tym gronie dziękuję Teatrowi Modrzejewskiej (dyrektor Jacek Głomb, Klub Gońca Teatralnego i Joanna Rostkowska, Gupa Bagażnik i Anita Poddębniak, Drużyna Modrzejewskiej - cudowni ludzie dający motywację).

Specjalne podziękowania dla Beatki za wspaniałe wsparcie i obecność.

W sumie to jeszcze mogłabym pisać, wymieniać, dziękować, pozdrawiać, ale to wszystko mało, to po prostu trzeba przeżyć.

Aleksandra Chodor



Alicja Chodor fot. Konrad Janicki

Ile trwa 5 minut?

Paulinę Stolarczuk znam od kilku lat, pozna-
liśmy się chyba tutaj – w Słupsku. Nie ważne
gdzie – ważne, że zapamiętałem ją jako bardzo
dojrzałą, świadomą i pewną tego, co robi na
scenie i po co na nią wychodzi. „Czechło” wi-
działem już w czasie eliminacji województwa
pomorskiego. Byłem oczarowany spektaklem,
jako jury jednogłośnie orzekliśmy, że Paulina
musi reprezentować województwo na finale
w Słupsku. I jako widz, i jako juror kwidzyń-
skich eliminacji nie wstydzę się tej decyzji.



fot. Szymon Wojewoda

Śmierć jest immanentną częścią życia, choć
trudno pogodzić się z nią, na ogół trudno też
zgodzić się na nią, zwłaszcza kiedy dotyczy
naszych bliskich. Medycznie – zgon. Następuje
z ustaniem funkcji elektrycznych mózgu i ak-
cji serca. Język medycyny jest zdystansowany,
zgon jest bezosobowy, śmierć ma imię, nazwi-
sko, twarz, historię.

Trudno mówić o tak ważnych sprawach nie
popadając w patos albo banał, wymaga to do-

Paulina Stolarczuk, Klub „Kwadrat” SM
Kolejarz w Słupsku
„Czechło” na motywach reportażu pt. „So-
roczka” Angeliki Kuźniak
scenariusz: Magdalena Płaneta, Paulina
Stolarczuk
reżyseria: Magdalena Płaneta

świadczenia życiowego, dojrzałości, dystansu.
Wydaje się, że jeszcze trudniej mówić o śmierci
ze sceny. Paulinie się to udało, bo jej spek-
takl chociaż w całości – we wszystkich trzech
odsłonach przedzielonych śpiewanym białym
głosem refrenem – opowiada o śmierci, ani
na chwilę nie ociera się o patos i nie traci ba-
nałem. Traktuje temat z dystansem, zarówno
w warstwie fabularnej i wykonawczej, z po-
czuciem humoru, ciepłym uśmiechem pogo-
dzonych ze śmiercią kobiet. Aż przychodzi
ostatnia odsłona – jest końcówka II wojny
światowej, do miasteczka zbliżają się radziec-
cy żołnierze, trzeba się zabić – osądza sołty-
sowa. Kobiety wchodzą na strych, wiążą pętle
na szyjach, skaczą by uniknąć bestialstwa żoł-
nierzy. Wśród zdesperowanych jest też matka
z córką, dziewczynka wie, co ją czeka, pyta jak
szybko umrze – to tylko pięć minut. Mamusiu,
ile trwa pięć minut?

Gdybym mógł obejrzeć spektakl Pauliny raz
jeszcze – zrobiłbym to. Jest słodko-gorzko, jest
inteligentnie i ciepło, z szacunkiem ale nie na
kolanach, a przede wszystkim z sensem, a ko-
lejne obejrzenie pozwala zobaczyć kolejne
znaczenia i samemu odpowiedzieć na pytanie
ile trwa pięć minut.

Gustaw Puchała

OMÓWIONO

Paulina Stolarczuk

„Czechło”

Marzenna Wiśniewska:

-Kompozycja pokazała pani rejestr możli-
wości.

-Pieśń żałobna przepięknie zaśpiewana.

- Potrafi Pani unieść trzy różne głosy ludzkie.
- Szkatułkowo, cudownie zbudowane.
- Dziękuję za operowanie różnaitością głosów i opowieści oraz za delikatność.

Bernadetta Żynis:

- Ja jestem trzy razy na tak i czwarte tak ode mnie.
- Świetna robota.

Anna Seniuk:

- Bardzo piękne trzy opowieści.
- Były czytelne, zróżnicowane, z poczuciem humoru.

-Efekt osiągnięty prostymi środkami, świadomym gestem.

-Absolutnie do kupienia przeze mnie.

Jan Zdziarski:

- Bardzo mi się to podobało, ale chyba nie powiedziałem nic odkrywczego.
- Po pierwsze: skromność, po drugie: prostota narracyjna bardzo trafiająca.
- Niesamowite wykorzystanie rekwizytu.
- Podobało mi się, dziękuję. Pozostawię spektakl w pamięci.

W oparach mąki

Od początku intrygował mnie sam tytuł monodramu – „Maka Samambu”. Ponoć (piszę tak, bo nigdzie w Internecie nie znalazłam potwierdzenia) tak nazywają Aborygeni kobietę, która rodzi tylko synów. I tylko taka kobieta, jest godna miana matki (a nie taka, które urodziła córkę). Tylko taka kobieta się liczy. Kobieta. To właśnie o niej jest przede wszystkim spektakl w wykonaniu Patrycji Gandery z Nowosolskiego Alternatywnego Stowarzyszenia Artystów.

O kobiecie, jej roli w społeczeństwie, rodzinie w świecie. Dość schematyczne podejście do tematu, powtarzanie banalnych już opinii, nic odkrywczego. Ale to nie grzech. Tym bardziej, że o tym trzeba mówić. Głośno i wyraźnie, aby wszyscy usłyszeli i żeby do nich dotarło, że kobiety nie zgadzają się na patriariat. Na przedmiotowe traktowanie, na pomijanie ich w ważnych sprawach, na decydowanie za nie. Ten monodram to kolejny głos w sprawie kobiet. To kolejny sprzeciw przeciwko męskiemu szowinizmowi. Szkoda tylko, że podany w takiej standapowej formie, która nijak ma się do monodramu.

Natarczywe, niemiłe próby nawiązania kontaktu z publicznością, wulgaryzmy niczym nieusprawiedliwione i chmura mąki nad sceną, która poza tym, że zanieczyściła sprzęt

Patrycja Gandera, Nowosolskie Alternatywne Stowarzyszenie Artystów - NASA „MAKA SAMAMBU” kompilacja tekstów Edwarda Gramonta, Lautreamonta Benjamina Pereta, Adama Mickiewicza, Cypriana Kamila Norwida, prof. Jana Miodka, partie improwizowane: Patrycja Gandera scenariusz, reżyseria, scenografia: Edward Gramont



fot. Szymon Wojewoda

OMÓWIONO

Patrycja Gandra

„MAKA SAMAMBU”

Marzenna Wiśniewska:

-Przy całej cudownej osobowości, którą Pani prezentuje i talencie do żywego budowania kontaktu z widzem, myślę, że dramaturgia Pani postaci powinna być zbudowana precyzyjnie.

-Mam duże wątpliwości do dramaturgii, ale to są bardziej uwagi do reżysera.

-Tu jest osobowość i talent wciśnięty w ramy, w których dostajemy nie to, co byśmy chcieli.

Bernadetta Żynis:

-Pani energia, młodość, osobowość sceniczna jest na 5+.

-Improwizacje to jest najtrudniejsza sztuka, a pani sobie z tym naprawdę dobrze radziła.

-Nie jest to częste, w tak młodziutkim wieku mieć taką odwagę.

-Różewicz powiedział o muzyce współczesnej, że to jest pierdzenie demona.



fot. Grzegorz Boroszko

oświetleniowy na sali teatralnej i przysporzyła przez to kłopotów organizatorom, niczego nie wniosła. Jednym słowem: przerost formy nad treścią. Przegięcie. Niepotrzebne, gdyż nie wzmocniło siły przekazu. Szybciej ją osłabiło.

A jeszcze wracając do wulgaryzmów. Stwierdzenie, że Polacy bez nich by zaniemówili, że nie potrafią inaczej to – moim zdaniem – zbyt duże uogólnienie. Zapewne w pewnych kręgach przekleństwa i niecenzuralne słowa są normą. Ale o jakim kręgu ludzi mówimy? A propagowanie tego ze sceny – czy to dobry pomysł? Mi osobiście przeszkadzały wulgaryzmy wplatanie w wypowiedzi aktorki. Czyżby utożsamiała się z kręgiem ludzi posługujących się takim językiem? I to w połączeniu ze sprawą kobiet? Teraz mam ochotę napisać: k..., no nie.

Podsumowując, ważny temat, ale słabo podany.

Joanna Jusaniec

Anna Seniuk:

-Przeniesienie jeden do jednego podwórka do teatru mija się z celem. Musi być przetłumaczenie na język teatru.

-Stać Cię na wspańale rzeczy na dobrej literaturze. Szkoda, że to było takie patchworkowe.

Jan Zdziarski:

-Ja uważam, że nie ma brzydkich słów. Są słowa źle użyte. I byłem świadkiem źle użytych słów.

-Nie wiem do czego to prowadziło i o czym opowiadało.

-Miałem szczęście siedzieć w czwartym rzędzie. Nie dotknęła mnie ta cała etiuda mączna.

-Widownia za moimi plecami była obojętna, zimna.

-Każdy tekst można przerobić na swoją modłę - przerobić po swojemu. Czy Tobie się to udało? Myślę, że nie.

Lustreczko, powiedz przecie...

Są choroby bardziej i mniej wstydlive, takie, które widać gołym okiem i takie, o których istnieniu wie tylko chory. Dolegliwości ciała bolą też duszę, zwłaszcza, kiedy zamiast wsparcia chory otrzymuje stygmat, na przykład masary. Otyłość jest chorobą, taką samą jak grypa, depresja czy zapalenie trzustki. Ma swoją

kategorię w klasyfikacji chorób – E.66, jak każda choroba może i powinna być leczona, równocześnie jest bardzo widoczna, nieestetyczna wedle współczesnych – często nierealnych standardów wyglądu ciała. To trudne dla dorosłego dotkniętego tym schorzeniem, co dopiero dla adolescenta, który poszukuje akceptacji w grupie rówieśniczej.



fot. Szymon Wojewoda

tej rozmowy zaproszony.

Spektakl z początku oglądałem z dużą przyjemnością – była świadomość sensu bycia na scenie, świadomość użycia rekwizytu, stroju. Z biegiem przedstawienia zacząłem odczuwać coraz większy dyskomfort – walka aktorki z lustrami bardzo mnie zmęczyła. Coś, co miało być pomocne stało się wyraźną kulą u nogi i rozbijało rytm spektaklu,

w sposób dla mnie zupełnie niezrozumiały i czasem bezsensowny. Plusem była muzyka, napisana specjalnie przez Piotra Madurę (zbieżność nazwisk z reżyserką nieprzypadkowa) nie dominowała aktorki a umiejętnie podbijała emocje postaci.

Masara to gwarowe – śląskie – pejoratywne określenie dużej, grubej muchy. Wiktoria pokazała jakie emocje towarzyszą

Wiktoria Skowron, Miejski Ośrodek Kultury w Dębicy „Odbicie” na podstawie opowiadania Szczepana Twardocha pt. „Masara” scenariusz i reżyseria: Dominika Migoń-Madura scenografia: Wiktoria Skowron muzyka: Piotr Madura

Między innymi o tym opowiada Wiktoria w spektaklu „Masara” na podstawie opowiadania Szczepana Twardocha pod tym samym tytułem. Bohaterka, dotknięta E.66, zderza się z brutalną rzeczywistością odrzucenia w grupie rówieśniczej, braku akceptacji własnego ciała, ale też z ogromną potrzebą kochania i bycia kochaną. Wiktoria, studentka psychologii, bardzo świadomie buduje rolę, czasem miałem wrażenie, że autoterapeutycznie – potwierdziła to sama Wiktoria w czasie omówień. We współcześnie rozumianej recytacji na OKR, istotna jest rozmowa przy pomocy tekstów, które recytator włącza do programu. Cieszę się, że zostałem do

dziewczynie, która patrząc w lustro widzi masarę, bo tak chce ją widzieć społeczeństwo. Nie są to emocje, które ktokolwiek, zwłaszcza chory, chciałby odczuwać. Łatwo jest oceniać i krytykować, trudniej próbować zrozumieć i wspierać. Ja wybieram tę trudniejszą drogę, a Wy?

Gustaw Puchała

OMÓWIONO

Wiktoria Skowron

„Odbicie”

Marzenna Wiśniewska:

-Przestrzeń, która została stworzona była bardzo korzystna.

-Użycie luster bardzo intrygujące. W tych momentach najwięcej się działo.

-Miałam poczucie pewnego niedokończenia w tej historii.

-Zabrakło mi zbudowania postaci.

Bernadetta Żynis:

-Być może był tu jakiś problem w kompozycji.

Anna Seniuk:

-To nie Twoja wina, że zabrakło szerszego kontekstu. Ale jakiś kontekst musi być.

-Bardzo mi się podobała organizacja przestrzeni. Ta przestrzeń żyła i Ty w tej przestrzeni żyłaś.

Jan Zdziarski:

-Scena kłótni rodziców nie została wykończona. Zabrakło mi w niej pointy.

-Pani od początku powiedziała mi, że przegrała.

-Odbierałem to przedstawienie jako spektakl terapeutyczny dla samej siebie.

-Zaczęła pani tę opowieść w tonie „ale mam przesrane życie”.

Wspomnienie

Nie będzie żadnym odkryciem jeśli powiem, że nikt z nas nie idzie przez życie sam. Czasem dzieje się tak, że ci, których ścieżka krzyżuje się z naszą tylko na chwilę, wywierają na nas większy wpływ niż ludzie, znani przez lata.

Nie pamiętam kiedy dokładnie poznałem Kazimierza Jałowczyka, musiałem jeszcze wtedy chodzić do liceum. Choć „poznałem” to chyba zbyt duże słowo – raczej wiedziałem o jego istnieniu. Przypominam go sobie, przechadzającego się po foyer Ronda przy okazji spektakli czy festiwali, serdecznie witającego się i rozmawiającego ze wszystkimi, którzy byli moimi autorytetami. Naturalnie więc zwróciłem na niego uwagę. Elegancki, ale bez przesady, zdawał się emanować niedostępną dla każdego mieszaniną nonszalancji, pewności siebie i lekkiego roztargnienia.

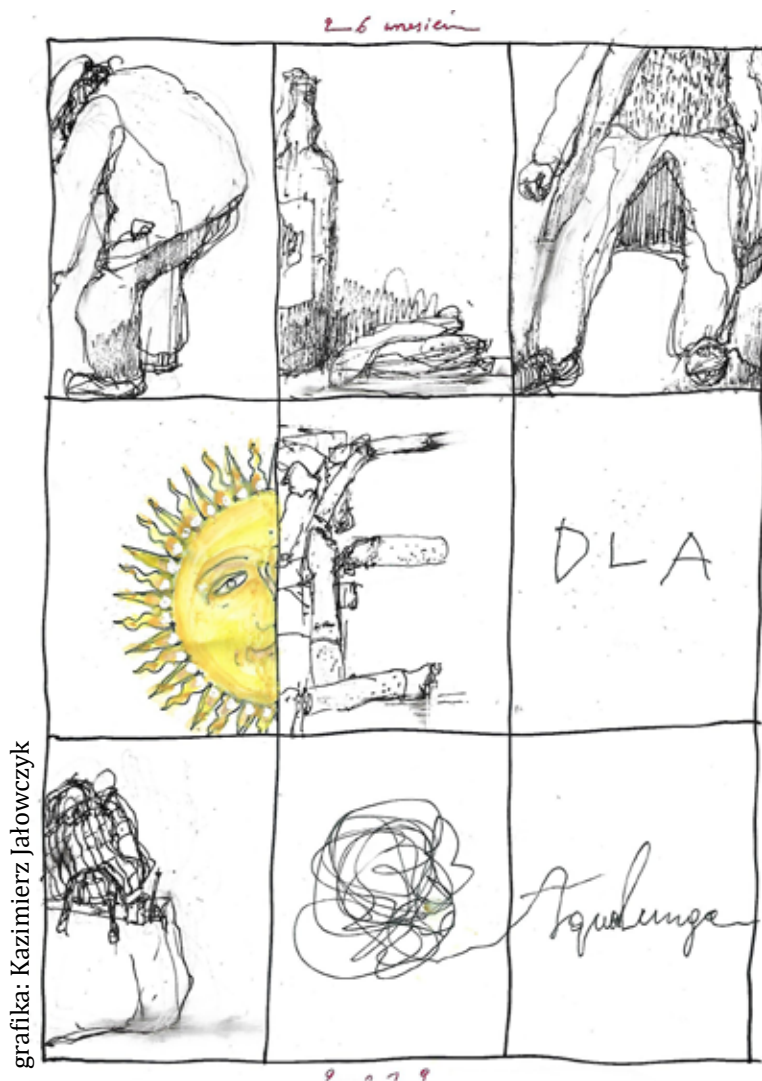
Kiedy kilka lat później szykowaliśmy się ze Stanisławem Miedziewskim do premiery monodramu, na ostatniej prostej trzeba było pomyśleć o plakacie. Stanisław zaproponował, żebyśmy porozmawiali z Kazimierzem Jałowczykiem. Moja mina musiała dość dobrze oddawać pustkę, jaka wtedy znajdowała się w mojej głowie, bo reżyser aż machnął ręką:

- No nie mów, że nie znasz Kazika! Przecież te

wszystkie plakaty są jego! – wskazał na swoje epitafium wiszące w rondowej kawiarence.

Kiedy połączyłem fakty, a imię i nazwisko zmaterializowało mi się w pamięci ze wspomnieniem konkretnej osoby byłem bardzo podekscytowany możliwością współpracy profesorem Jałowczykiem. Sądziłem, że spotkamy się, zagram spektakl, chwilę porozmawiamy, zbudujemy koncepcję, omówimy pomysły... Nic z tych rzeczy. Usiedliśmy w Rondzie, zrobiłem kawę, Kazimierz był rzeczowy, spokojny. Zaczął od pytań o mnie. Co robię, co studiowałem, dlaczego, jaki temat pracy magisterskiej...

- Prowokacja artystyczna a przestępstwo? Ha! To bardzo ciekawe, Michale... - od tego momentu zwracał się do mnie już zawsze w ten sam sposób: Michale. Wypowiadał moje imię przeciągając delikatnie ostatnią samogłoskę, co dawało efekt jakby niedopowiedzenia, ciągłego pytania. Początkowy delikatny dystans bardzo szybko zaczął zmieniać się w obopólne zainteresowanie i serdeczność. Rozmowa zeszła na literaturę: dlaczego taki a nie inny materiał powieściowy, jakie wątki są poruszane w spektaklu, co one dla mnie i reżysera znaczą, jaki chcemy uzyskać efekt, co jest pretekstem, a co osią spektaklu. Ciekawe jest to, że Kazimierz bardzo stanowczo odmówił obejrzenia próby, albo przeczytania scenariusza.



grafika: Kazimierz Jałowczyk

sza. Zebrał interesujące go informacje i tyle. Spotkaliśmy się kilka dni później, przyniósł ze sobą dwa projekty, całkowicie różne a jednak doskonale oddające atmosferę przedstawienia. Kazimierz powiedział mi wtedy, że plakat jest elementem, wizytówką spektaklu, powinien z nim korespondować i być jego dopełnieniem, a w związku z tym, należy mu się dobra ekspozycja. Można pomyśleć – banał, przecież wiedziałem o tym wcześniej. Tak, wiedziałem, ale nie uświadamiałem sobie tego. Te słowa Kazika wryły mi się w pamięć. Od tamtej pory patrzę na plakaty teatralne nie jak na afisze, których jedyną funkcją jest przekazanie informacji i dekoracja, ale jak na dzieło, z jednej strony autonomiczne, z drugiej nierozdzielnie związane z misterium teatru.

Jakiś czas później nasze drogi znowu się zbiegły. Pracowałem wtedy w Rondzie, a Kazimierz przystępował do tworzenia pracy, zdobiącej

jedną ze ścian foyer teatru. Metaforycznej pracy-zagadki (zagadki same się zgadują). Zaglądał wtedy często do mojego pokoju:

- Dzień dobry Michale, znajdziesz chwilę na kawę? – wolny czas był jedną z ostatnich rzeczy którą grzeszyłem, ale owszem, znajdowałem.

Siadaliśmy w fotelach i powoli, razem z aromatem palonych ziaren Kazimierz wpuszczał mnie do swojego świata. Opowiadał o seriach rysunków, fascynacji kreską, o tym jak odróżnić dobry marker wyłącznie po jego zapachu, a ja coraz bardziej zapadałem się w nieznane mi przestrzenie ogromnej wrażliwości wyrażanej poprzez barwy i kształty.

Zdarzało mi się przychodzić wtedy do foyer, żeby podpatrzeć jak pracuje, w zależności od nastroju bądź przy kojących melodiach wy-

śpiewywanych przez Grechutę, bądź przy egzotycznie brzmiącym połączeniu hard rocka z operowym wokalem, serwowanym przez zespół Nightwish. I nawet jeśli czasem bałem się, że coś sobie zrobi, kiedy niefrasobliwie wskakiwał lub zeskakiwał z drabiny, która za każdym razem przesuwawała się odrobinę w kierunku schodów, to muszę przyznać, że lubiłem to podglądanie, mające w sobie coś z poruszenia i satysfakcji towarzyszących zaglądaniu do zamkniętego pokoju przez ciekawskie dziecko.

- Michale, chyba domaluję tam w rogu jeszcze krokodyla, wiesz, jako symbol ciemności, złych mocy – powiedział mi któregoś razu, kiedy praca, nazwana „W DZIEŃ I W NOCY”, była już prawie gotowa – Wiesz, musimy się kiedyś umówić, żeby sobie tak na spokojnie porozmawiać, a nie jak zawsze w przerwie od czego...

- Oczywiście profesorze, bardzo chętnie, kiedyś w końcu nam się uda. Przepraszam, trochę się spieszę, muszę już lecieć.

- Jasne, nie zatrzymuję, wszystkiego dobrego. No, cześć Michale.

Od zeszłego roku patrzę na pracę „W DZIEŃ I W NOCY” trochę inaczej niż wcześniej. Zastanawiam się, czy jej tytuł nie jest przypadkiem zmyłką autora? Owszem, jest tam dzień i noc, symbole odwiecznego tarcia dobra i zła, manicheizmu świata. Teraz jednak koncentruję się bardziej na wypuszczonej z łuku strzale, nieodparcie zmierzającej od owocowego drzewa i beli siana w kierunku zmierzchu, ciemności. Patrzę na nią, zatrzymaną ręką Artysty w swoim locie przez przestrzeń. Jeśli chcę, mogę być towarzyszem jej drogi przez krótszą czy dłuższą chwilę. Wiem jednak, że bez względu na wszystko, dotrze ona w końcu do miejsca swojego przeznaczenia.

Do celu swojej podróży.

Wśród Czasu.

Michał Studziński



grafika: Kazimierz Jałowczyk

O obrotach ciała niebieskiego

Kinga Kaczmarek to młoda artystka od trzech lat związana z teatrem Terminus A Quo. Młoda wiekiem, ale już niekoniecznie stażem, ponieważ publiczność 19. Sam na scenie obejrzała jej setny występ sceniczny w monodramie „Usuwanie Alejandry”, według tekstów Alejandry Pizarnik – argentyńskiej poetki i pisarki, której twórczość przez literaturoznawców zaliczana jest do nurtu tak zwanego latynoamerykańskiego surrealizmu.

Aktorka, ubrana w zwiewną, błękitną sukienkę wysunęła się zza kotar sceny Ronda z delikatnym, niewinnym uśmiechem i już po chwili oddała się nieskrępowanemu, radosnemu tańcowi między usadzoną wokół sceny publicznością. Roztaczać zaczął się czar radości życia, kojarzący się mi z długimi, zdawać by się mogło, niekończącymi się letnimi wieczora-



fot. Krzysztof Przewoźny

Kinga Kaczmarek, Nowosolskie Alternatywne Stowarzyszenie Artystów - NASA
„Usuwanie Alejandry” na podstawie tekstów Alejandry Pizarnik (tłum. Zuzanna Gawron)
scenariusz, reżyseria, scenografia: Edward Gramont

mi. Wrażenie to spotęgowało tylko wplecenie w rozpoczynającą się opowieść, jakby bajkowego, kufra ze skarbem piratów. Zaraz jednak na tym idyllicznym obrazku zaczęły pojawiać się rysy – dowiadujemy się, niejako mimochodem, że bohaterka została wykorzystana, a wszystko o czym usłyszeliśmy dotychczas jest najprawdopodobniej tylko wytworem jej wyobraźni. Wiele wskazuje na to, że wraz z traumatycznym doświadczeniem zaczęła rozpadać się osobowość bohaterki, która osuwa się w siebie, usuwać, niweluje swoje jestwo, popada w przerażającą samotność. Dobitnie wybrzmiało to w scenie z lustrem, kiedy aktorka zasłaniając się nim stawiała przed publicznością umożliwiając każdemu przejrzanie się w nim i mówiąc „Nigdzie mnie nie ma” a potem wychylała się zza niego i zwracała się bezpośrednio do widzów słowami „Jestem tu, to ja, Alejandra”. Nikt jednak Alejandry nie dojrzał.

Sądzę, że ten spektakl w zamyśle jego twór-

ców miał być zarówno liryczny jak i oniryczny. Był taki... moim zdaniem aż za bardzo. Być może wynika to z towarzyszącej przedstawieniu muzyce, być może ze zbyt jednostajnego podawania tekstu przez Kingę. Wpłynęło to, niestety negatywnie, na obiór opowiadanej historii. Odczucia tego nie niwelowały niestety, absolutnie świetne, partie ruchowe wykonywane przez Kingę, czy wspomniana już przeze mnie, znakomita, choć nieco zbyt długa, scena z lustrem. Szkoda, bo trochę dokładniejsze opracowanie tematu w połączeniu z umiejętnościami i naturalnością sceniczną Kingi, mogłoby zaowocować świetnym monodramem.

Michał Studziński

OMÓWIONO

Kinga Kaczmarek

„Usuwanie Alejandry”

Marzenna Wiśniewska:

- Cudowny potencjał do mierzenia się z poezją przez fizyczną obecność na scenie.
- Duże uznanie dla Twojej umiejętności pracy głosem.
- Bardzo dobre przetrzymanie nas z elementami, m.in. lustrem.
- Krażymy z Tobą po kole obłądu.
- Dziękuję za bardzo świadome budowanie postaci przez jej organiczność.

Bernadetta Żynis:

- Widzimy ogrom pracy.
- My nie jesteśmy przeciwko, tylko razem. Trzeba o tym pamiętać.
- Trzymam kciuki za powodzenie.

Anna Seniuk:

- Fantastyczne rozpoczęcie, chłonęłam Twój taniec. A potem jakoś siadło.
- Miałam problem ze zrozumieniem każdego zdania.
- Nie było frazy myślowej, zdania były bardzo posiekane.
- Masz w sobie dużo prawdy i dobrej energii.

Jan Zdziarski:

- Czy Pani w ogóle kiedyś próbowała recytować?
- Jeśli ja nie rozumiem połączeń myślowych to przestajemy się kontaktować.

Trudna dorosłość

Młodość – słowo, które pierwsze przyszło mi do głowy i które utknęło w niej aż do samego końca spektaklu Alicji Wojnarowskiej, którego treść, forma i przesłanie wydają się być skierowane do rówieśników piętnastolatki z Podkarpacia. I nie jest to zarzut, bo jest w swej roli wyjątkowo autentyczna.



fot. Grzegorz Boroszko

Alicja Wojnarowska, Miejski Ośrodek Kultury w Dębicy

„Oddech” na podstawie R.M. Romero „Lalkarz z Krakowa” i Lauren Wolk

„Rok w którym nauczyłam się kłamać” scenariusz, reżyseria: Dominika Migoń Madura

Alicja jest w podwójnej roli, bo na scenie towarzyszy jej alter ego bohaterki w postaci lalki. Nie mogę wyjść z podziwu nad kunsztem animacyjnym aktorki. Praca z marionetką jest niezwykle trudnym wyzwaniem dla osób z dużo większym doświadczeniem, a tu zobaczyć mogliśmy płynne przejścia, wyrazistą gestykulację i opanowanie. Gorzej

wypadło rozróżnienie tekstów wypowiedzianych przez oba wcielenia bohaterki. Pozostając w temacie scenicznych rekwizytów, koniecznie trzeba również wspomnieć o scenografii i jej pomysłowemu wykorzystaniu.

„Oddech” to opowieść o schyłku dzieciństwa i pierwszych krokach w dorosłość. Oparty

na książkach „Rok, w którym nauczyłam się kłamać” Lauren Wolk i „Lalkarz z Krakowa” R.M. Romero scenariusz porusza temat dorastania. Ukazuje dokładnie ten moment, w którym dziecięcy, fantastyczny i bezpieczny świat ustępuje miejsca wojennej rzeczywistości, w której okrucieństwo holokaustu pokazane zostało na przykładzie

Krainy Lalek.

Alicja na scenie toczy ożywioną dyskusję z marionetką, chociaż w pewnym momencie można odnieść wrażenie, że to lalka przebija się na pierwszy plan tej opowieści, będąc bohaterką wyrazistszą i, choć zabrzmiałoby to trochę kuriozalnie, bardziej prawdziwą. Pa-

miętajmy jednak, że mówimy o młodej, świetnie zapowiadającej się aktorce, która ma przed sobą jeszcze wiele scenicznych wyzwań. Już w tym momencie wiele elementów jej pracy budzi uznanie. Doskonale operuje rekwizytami i odnajduje się w scenografii, śpiewa czysto i mówi wyraż-

nie, a przy tym nie brakuje jej odwagi, by nawiązać interakcję z widzami. Tylko szkoda, że historia została podana w taki sposób, że nie wzbudziła we mnie większych emocji. Być może to nie ja jestem tym odbiorcą, o którym myślały twórczynie „Oddechu”.

Krzysztof Przygoda

OMÓWIONO

Alicja Wojnarowska

„Oddech”

Marzenna Wiśniewska:

-Bardzo dziękuję za marionetkę i niezwykle trudną sztukę animacji.

-Dziękuję za subtelność tej historii.

-Miałam poczucie ogromnej autentyczności.

-Miałam wrażenie, że byłaś echem „Alicji w Krainie Czarów”.

Bernadetta Żynis:

-Wejście w baśniowość usprawiedliwia głoszenie najprostszych prawd.

-Imponuje mi, że 15-latka ma odwagę zejść ze sceny i wejść w kontakt z widownią.

Anna Seniuk:

-Było to bardzo ciekawe i in-

teresujące. Duże wyzwanie dla Ciebie.

-Bardzo to było ładne.

Jan Zdziarski:

-Popracuj nad głosem, Pani Alicjo.

-Bardzo mi się to podobało.

-Przepiękne wymyślenie scenografii.

-Po prostu 15-latka nas uwiodła.



fot. Grzegorz Boroszko

Pierwszego dnia konkursu publiczność miała okazję spotkać się z jurorką Marzenną Wiśniewską, także pozakonkursowo. W klubokawiarni Cepelin odbyła się promocja jej najnowszej książki „Archipelag indywidualności. Solowe teatry performerów współdziałających z materią”.

Wieczór mistrzowski Anny Seniuk
„Księga ziół czyli jak uleczyć dusze i ciało...”

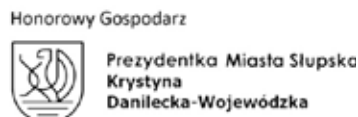


fot. Grzegorz Boroszko

ORGANIZATORZY



PATRONAT



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Miasto
Słupsk

PARTNERZY



SOSiR
Słupsk



PATRONAT MEDIALNY



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

REDAKCJA

Redaktor naczelny: Maciej Swornowski

Redaktorzy: Joanna Jusianiec, Nicola Łazarów, Krzysztof Przygoda, Hanna Podskarbi, Gustaw Puchała, Michał Studziński,

Fotoreporterzy: Grzegorz Boroszko, Konrad Janicki, Krzysztof Przewoźny, Szymon Wojewoda,

WYDAWCA

Słupski Ośrodek Kultury,
Słupskie Towarzystwo Kultury Teatralnej
Teatr Rondo
ul. M. Niedziałkowskiego 5a, 76-200 Słupsk
rondo@sok.slupsk.pl

ISSN 0265-7821



9 770265 782713